



Utracona przyjaźń

Ilekcję przez kolejne tygodnie Martin powracał myślami do tego przerażającego momentu, w którym Walburg Fokster zaczął ogłaszać wyrok, wciąż przyprawiało go to o dreszcze. Siedząc przed armią urzędasów, przez ten krótki moment Martin był przekonany, że lada chwila zostanie zamordowany. Wciąż widział przed oczami twarz Hermiony Granger, która widocznie uznała, że taka kara jest niedopuszczalna. W tej krótkiej chwili na jej twarzy dostrzegł szczere współczucie. Przynajmniej do czasu, kiedy Fokster wyjaśnił zebranym, że polski Minister Magii poprosił Wizengamot o łagodniejszy wymiar kary.

— Pan Minister zwrócił naszą uwagę na fakt, że Roman Pi-skorz większość swojego życia przeżył jako mugol — tłumaczył się później prasie, podczas specjalnej konferencji. — I być może nie był w pełni świadom pewnych zagrożeń, które czyhały na niego w świecie czarodziejów. Właśnie dlatego Wizengamot podjął decyzję o zamianie kary śmierci na karę dożywotniego pobytu w Azkabanie.

Wiść o tym znalazła się na pierwszych stronach wszystkich gazet. Dołączono do niej paskudne zdjęcie Martina, który przy ogłoszeniu wyroku zalewa się łzami. Zdjęcie, które Martin podarł natychmiast, gdy tylko strażnik John przyniósł mu egzemplarz Proroka Codziennego do celi.

— Przykro mi, Martin. To są wszystkie listy jakie do niej wysłałeś — powiedział ze smutkiem, kiedy któregoś popołudnia przyszedł pod celę z plikiem kopert w dłoni. — Żadnego nie odczytała. Po prostu je odesłała...

Martin westchnął ciężko i odebrał koperty od strażnika.

— Widać, Lisa jednak uwierzyła w te bzdury z Proroka Codziennego — stwierdził ze smutkiem. — Dobrze, że jest chociaż jedna życzliwa osoba, która wciąż wierzy w moją niewinność...

John zarumienił się nieco.

— Nie masz żadnej rodziny? — spytał z troską. — Może chcesz do nich wysłać kartkę na święta?

Martin westchnął ciężko.

— Nie, nie chcę — odrzekł, a widząc zdumienie na twarzy znajomego, pospiesznie wyjaśnił — Kiedy moje zdolności zaczęły się budzić, a wokół mnie działy się naprawdę dziwne rzeczy, moi rodzice uznali mnie za czubka... Próbowali zamknąć mnie w psychiatryku... Kiedy wyjaśniłem im, że jestem czarodziejem kompletnie im odwaliło! Wywalili mnie z domu i wyznali, że nie chcą mieć ze mną nic wspólnego.

Strażnik pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Rodzice powinni bezwarunkowo kochać swoje dzieci — wyznał. — Bardzo mi przykro. I to podwójnie, bo nie zobaczymy się w te święta...

Martin pobladł na twarzy i obdarzył strażnika zawiedzionym spojrzeniem.

— Masz wolne w Boże Narodzenie? — spytał ze smutkiem, a kiedy John potwierdził kiwnięciem głowy dodał: — No to w takim razie, wszystkiego dobrego. Wesolych Świąt.

W swoim głosie usłyszał nutę zawodu. Miał wrażenie, że strażnik John też to dostrzegł.

Wigilijny wieczór był dla Martina tego roku bardzo przykry. Powoli oswajał się z myślą, że resztę swojego życia spędzi samotnie w niewielkiej celi. W ten szczególny wieczór odczuwał jednak samotność ze zdwojoną siłą. Wpatrując się w niewielkie okienko wysoko pod sklepieniem celi, za którym z nieba spadały wielkie płatki śniegu, gorączkowo zastanawiał się, co robią teraz jego rodzice. *Czy zasiedli już z resztą rodziny przy wigilijnym stole? A może kiedy zobaczą jedno puste krzesło choć przez chwilę pomyślą o mnie i zatęsknią?*

Z zadumy wyrwał go odgłos czyiś kroków. Kiedy podszedł do krat spostrzegł uśmiechniętą twarz Johna. Strażnik był ubrany po cywilnemu i przyglądał mu się z rozbawieniem.

— Co ty tutaj robisz? — spytał uradowany i zaskoczony Martin. — Przecież miałeś mieć wolne...

John nic jednak nie odpowiedział. Zamiast tego zaśmiał się szyderczo, szczerząc do niego zęby. Ten wyraz twarzy natychmiast wydał się Martinowi dziwnie znajomy. Zanim zdążył jednak zareagować, John momentalnie zamienił się w Gilberta McDuke'a.

— Cześć, Martin — przywitał się złośliwym tonem. — Czy

wolisz, żeby nazywać cię Roman? W końcu to jest twoje prawdziwe imię...

Martin poczuł ogarniającą go wściekłość.

— CZEGO TU CHCESZ, TY OBRZYDLIWY ZBOCZENCU?! — wrzasnął na tyle głośno, aby mogli go dosłyszeć strażnicy. — MORDERCO!

Gilbert zarechotał.

— Zluzuj poślady, stary! — zawołał. — Wydzieranie się, nic ci nie da. Rzuciłem kilka zaklęć... Wiesz, tak na wszelki wypadek... Wolę mieć pewność, że żaden pajac nam nie przeszkodzi...

Martin prychnął z pogardą.

— W czym niby?! — syknął przez zaciśnięte zęby. — Czego jeszcze ode mnie chcesz?!

— Chciałem sprawdzić, co słyhać u starego druha — zakpił Gilbert. — Cela dostatecznie wygodna?

Martin wziął głęboki oddech, aby opanować ogarniającą go wściekłość.

— Wrobiłeś mnie w zamordowanie goblina! — warknął po chwili, z trudem zachowując względny spokój. Gilbert ponownie się zaśmiał.

— Nie doceniasz mnie, stary — stwierdził triumfalnym tonem. — Zrobiłem dużo więcej.

I momentalnie zamienił się w garbatego staruszka z kartoflanym nosem, którego Martin spotkał kilka miesięcy temu na bazarze i od którego kupił używany kociołek.

— TY... TO TWOJA ROBOTA... TY sprzedałeś mi ten cholerny kociołek! — warknął wyraźnie porażony tym, co zobaczył. — To przez ciebie zginęli ci wszyscy ludzie!

Gilbert ponownie wyszczerzył do niego zęby. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

— Potrafię być szpetnym sprzedawcą starych kotłów — stwierdził wesoło. — lub puszystą mugolką, która składa obciąż-

żające zeznania — mówiąc to zamienił się w mugolską kobietę, która kilka miesięcy temu wyznała, że to Roman Piskorz wysadził kamienicę. Martin poczuł ogarniającą go wściekłość. Z trudem udało mu się nad sobą zapanować.

— Zabawne, że kiedy twoi rodzice się o tym wszystkim ode mnie dowiedzieli — kontynuował mściwie Gilbert — wyjaśnili mi, że nie mają syna. Wyparli się ciebie, bez mrugnięcia okiem.

Martin poczuł ukłucie żalu w sercu. Wściekłość ustąpiła miejsca narastającej rozpacz.

— Dlaczego to wszystko robisz? — spytał ze złością. — Cemu wybrałeś akurat mnie?!

Gilbert pokręcił przecząco głową.

— To nie ja ciebie wybrałem, stary — odrzekł z ironicznym uśmiechem. — Ja tylko pomogłem zrealizować bardzo sprytny plan pewnej wpływowej osobie... Plan, który zakładał wykorzystanie ciebie do kradzieży zmieniacza czasu z Departamentu Tajemnic...

— Więc po to było to wszystko?! — spytał wściekle Martin. — Po to zrobiliście ze mnie mordercę? Żebym zwędził dla was zmieniacz czasu i zaniósł go pod skarbiec Lestrangle'ów?!

Gilbert zachichotał.

— Od samego początku wiedzieliśmy, że zmieniacz czasu tej grubaski nie nadaje się do tego, co planowaliśmy — stwierdził. — Nie zastanawiałeś się w jaki sposób Travers pojawił się jednak w dziewięćdziesiątym ósmym roku?

Martin pacnął się w głowę. *Jak mogłem wcześniej na to nie wpaść!*

— Użyłeś zmieniacza czasu, który mi zabrałeś, żeby wysłać Traversa do momentu, w którym mamy go złapać — stwierdził z przekonaniem, a Gilbert potwierdził kiwnięciem głowy. — Ale jak to możliwe? Przecież gdybyśmy go nie złapali, nie odebrałbyś mi zmieniacza czasu i nie mógłbyś go wysłać do przeszłości, żebyśmy go złapali...

Gilbert parsknął śmiechem. Widok głupkowatej miny Martina wyraźnie go uradował.

— To się nazywa paradoks czasowy, stary — wyjaśnił. — Błędne koło, które trudno wytłumaczyć... Ale tak. Masz rację. Tylko dzięki tobie mogłem wysłać Traversa do przeszłości i upewnić się, że da się wam złapać...

— Ale po co to wszystko?! — zdumiał się Martin, gorączkowo analizując wszystko to, co przed chwilą usłyszał. — Volde-mort nie powrócił. Wszystkie horkruksy zostały zniszczone. Niczego przecież nie zmieniliście?!

Gilbert wyszczerzył do niego zęby.

— Skoro tak sądzisz — zaśmiał się, na powrót zmieniając się w strażnika Johna. — Nie będę z tobą polemizował. W każdym razie przyszedłem tylko, żeby podziękować ci za owocną współpracę. Wesółych Świąt, stary!

I ruszył korytarzem. Martinowi coś się jednak przypomniało.

— Uratowałeś życie Lisie! — zawołał, a kiedy Gilbert-John obrócił się w jego stronę, wyraźnie zmieszany, pospiesznie dodał: — Dlaczego to zrobiłeś?!

Metamorfomag wzruszył ramionami.

— Pomyślałem, że będzie jeszcze okazja, żeby się z nią porządnie zabawić — zaśmiał się. Martin prychnął z pogardą.

— Możesz kłamać przed samym sobą — stwierdził z ironią. — ale ja znam prawdę! Coś do niej jednak poczułeś!

Gilbert-John wyszczerzył zęby.

— Jedyne co poczułem, gdy była obok — zaczął złośliwym tonem — to to, że za każdym razem robiło mi się ciasno w gaciach.

I oddalił się zanosząc się śmiechem.

Przez wiele tygodni od wizyty Gilberta Martin gorączkowo analizował, czego się wtedy dowiedział. Wciąż nie mógł uwie-

rzyć, że wszystko to było ukartowane. Począwszy od wysadzenia kamienicy w Człuchowie po kradzież zmieniacza czasu z Departamentu Tajemnic. Co gorsza, Gilbert sugerował, że udało im się zmienić bieg wydarzeń... *Ale niby jak... Dlaczego nikt niczego nie zauważył? Czemu do tej pory Voldemort się nie ujawnił? Czy to możliwe, żeby faktycznie mógł powrócić?*

O swoim spotkaniu z Gilbertem Martin opowiedział tylko Johnowi, z którym bardzo się zaprzyjaźnił. Strażnik próbował nawet dowiedzieć się, w jaki sposób morderca wdarł się niepostrzeżenie do Azkabanu. Okazało się, że ochrona uwierzyła, że ma do czynienia z prawdziwym Johnem.

— Być może ten koleś blefował — stwierdził strażnik podczas jednej z rozmów przez kraty. — Gdyby faktycznie cokolwiek zmienili w przeszłości, dawno już byśmy o tym wiedzieli... Ten cały Gilbert pojawił się tylko po to, żeby jeszcze bardziej namieszać ci w głowie...

— Jestem prawie pewien, że chodziło im o horkruksy Voldemorta — stwierdził stanowczo Martin. — Musieli coś z nimi kombinować... ale nie mam pojęcia o co mogło im chodzić...

Przez wiele kolejnych tygodni Martin starał się analizować wydarzenia związane ze zmieniaczem czasu, ale im więcej o tym wszystkim myślał, tym większy miał mętlik w głowie. Za każdym razem, gdy John przemycił dla niego gazetę, z drżącym sercem wertował jej stronicę. Wciąż obawiał się, że w końcu znajdzie nagłówek w stylu: "NIEMOŻLIWE STAŁO SIĘ MOŻLIWE. CZARNY PAN POWRÓCIŁ". Nic takiego nigdy jednak nie nastąpiło. Wydarzyło się jednak coś dużo bardziej zaskakującego.

W pierwszej połowie marca u krat celi Martina stanął ktoś, kogo ten zupełnie się nie spodziewał ponownie zobaczyć. Z zapłakaną twarzą, rozwianymi włosami i w grubym, wyjściowym płaszczu przybyła do niego Lisa Turpin.

— Nie mogę uwierzyć, że tutaj jesteś! — zawołał szczerze

uradowany Martin, podchodząc do kraty z uśmiechem na twarzy. — Tak bardzo chciałem cię znów zobaczyć!

Lisa nie podzielała jednak jego entuzjazmu. Pociągała nosem, a po jej twarzy wciąż spływały łzy.

— Co się stało?! — jęknął przerażony Martin, gdy minał mu początkowy entuzjazm i dopiero teraz dostrzegł, w jakim stanie jest jego przyjaciółka.

— Nigdy ci nie wybaczę tego, jak bardzo mnie oszukałeś — stwierdziła lodowatym tonem Lisa. — Uważałam cię za swojego przyjaciela... ale widać ja nie mam prawdziwych przyjaciół...

— To nieprawda! Bardzo mi na tobie zależy! — zaproponował Martin. — Pozwól mi tylko wszystko wyjaśnić. Błagam cię...

— Nie chcę słuchać żadnych twoich wyjaśnień! — fuknęła ze złością Lisa. — Przestań wysyłać ciągle do mnie listy. To definitywny koniec naszej przyjaźni i niech to do ciebie wreszcie dotrze! — wycedziła ze złością. — Przyleciałam tutaj tylko po to, żeby ci to wreszcie powiedzieć!

Martin poczuł ogarniającą go rozpacz. Zapiekły go oczy, więc dwukrotnie zamrugał.

— Tylko po to przerwałaś swoje zajęcia w Hogwarcie i przeleciałaś taki szmat drogi? — spytał z niedowierzaniem. — Naprawdę tak mnie nienawidzisz?

Lisa nic nie odpowiedziała. Przetarła rękawem płaszcza załamane oczy.

— Jeśli chcesz wiedzieć, to nie pracuję już w Hogwarcie — powiedziała po chwili. — Tam też są ludzie twojego pokroju. Nie chcę mieć z wami wszystkimi nic wspólnego!

Martin nie bardzo rozumiał, co ma na myśli jego przyjaciółka. Obdarzył ją zaskoczonym i zmartwionym spojrzeniem.

— Nie pracujesz już w Hogwarcie? — spytał roztrzęsiony — To gdzie się teraz podziejesz?!

Lisa prychnęła ze złości i się rozplakała.

— Wszystko mi jedno — wycedziła, łkając. — Byle być jak najdalej od ciebie i Harry'ego Pottera!